

Operowe frazy na wolności

- W „Metropolis” pierwszy raz odczułam, jak długa może być fraza. Pomogło mi to, poczułam się wolna i teraz także w operze pozwalam sobie na więcej, inaczej buduję frazy – mówi mezzosopranistka AGNIESZKA MAKÓWKA, która łączy pracę w operze z niestandardowymi projektami.

Magdalena Sasin: - „Metropolis” jest pierwszym pani projektem spoza muzyki poważnej?

Agnieszka Makówka: - Przez większość życia śpiewam partie operowe, ciągle jednak poszukuję czegoś nowego, jakiejś ścieżki, która pozwoliłaby mi spełnić się także poza operą. W 2005 roku z kolegami z teatru przygotowałam oparty na piosenkach projekt „Broadway, Broadway”. Śpiewałam też kolędy w niestandardowych aranżacjach. Te dwa przedsięwzięcia skłoniły mnie do szukania programu, w którym nie trzeba używać stricte operowego głosu.

W roku 2014 otrzymałam propozycję wzięcia udziału w projekcie „Metropolis”. Zgodziłam się od razu, a najbardziej zainteresowało mnie to, że ma on być oparty na improwizacjach, bo w czymś takim dotąd nie brałam udziału. Moje jedyne doświadczenie z improwizacją to udział w chórkach zespołu Varius Manx na początku kariery.

Punktem wyjścia improwizacji w „Metropolis” jest niemy film Fritza Langa pod tym tytułem...

- To film niemiecki z 1927 roku. Wywarł na mnie ogromne wrażenie. Niesamowicie działa na wyobraźnię: sceny bólu, strachu, podporządkowania się społeczeństwa są wręcz profetyczne, zapowiadają wydarzenia, które nastąpiły w Niemczech zaledwie kilka lat później. Jest tam też dużo okultyzmu, a wiadomo, że naziści się nim inspirowali. Mimo to Watykan uznał „Metropolis” za jedno z czterdziestu pięciu najważniejszych dzieł filmowych ze względu na walory artystyczne. Film ten mówi, że serce, dusza są w człowieku najważniejsze i jeśli tego zabraknie, może wydarzyć się wiele zł.

Jak przygotowywała się pani do projektu?

- Obejrzałam „Metropolis” kilka razy i wyobrażałam sobie muzykę, którą będę do niego śpiewać. Jednym z trojga głównych bohaterów jest kobieta – postać tak wielowymiarowa, że można pokazać pełnię swoich możliwości wokalnych i wykazać się pomysłowością. Daje artyście pole do popisu, bo przeżywa przeobrażenia: z dobrej w złą, z maszyny w człowieka.

Od Władysława Komendarka i Igora Gwadery dostałam próbki tego, co grają. Przez trzy miesiące tylko słuchałam tej muzyki, zwłaszcza Władysława, który kreuje całość, i starałam się zapoznać z jego sposobem komponowania, ze zwrotami harmonicznymi, jakie najczęściej stosuje. Miałam konkretne pomysły na swoją partię, wiedziałam, że będę wplatać operowe fragmenty, w literaturze jest bowiem wiele wspaniałych arii mezzosopranowych, które dotyczą problemów poruszanych w filmie. Jeśli dzieło ma być improwizowane, prób nie może być dużo. Byłam ciekawa całości i muszę przyznać, że na początku trudno mi było ją sobie uzmysłować.

Jaki jest charakter śpiewanej przez panią muzyki?

- Nie umiem określić tego jednym słowem, to jest po prostu „moje”. Śpiewam tylko wokalizy, bez tekstu. Każdy z dotychczasowych występów był inny. Staram się dopasować do obrazu i przekazać

emocje bohaterów. Większość czasu śpiewam głosem piosenkarskim. Staram się używać całej skali i wymyślam różne efekty, które pasują do obrazu filmowego. Elektroniczna muzyka Władysława jest zupełnie inna niż mój śpiew. Na koncercie najważniejsze jest uzyskanie porozumienia z Władysławem i Igorem. Ten projekt jest tak różny od tego, co robię na co dzień, że nie mogę się doczekać kolejnego koncertu. Dotąd odbyły się trzy – każdy odniósł sukces – a zaplanowane są jeszcze co najmniej dwa. Ten, który odbędzie się 10 stycznia w Studiu S1 Polskiego Radia w Warszawie, zostanie zarejestrowany. Następnie jedziemy do Szczecina, gdzie 30 stycznia wystąpimy w Filharmonii im. M. Karłowicza.

Jak układa się współpraca z Komendarkiem i Gwaderą?

– Razem tworzymy śmiały zestaw. Władysław jest wspaniałym artystą, to człowiek jakby z innego wymiaru. Pierwszy raz spotkałam się z osobą, która daje taką wolność wypowiedzi. Jeżeli się z nim wjedzie na ten sam tor, improwizacja nie jest trudna. Powstaje podskórne porozumienie. Igor to młodzieńczy duch, który wkłada w muzykę całą swoją energię. Bardzo dobrze mi się z nim śpiewa. Ma fantastyczny słuch muzyczny i wiele rzeczy robi intuicyjnie. Całość kreuje Władysław, a my się w to wpisujemy. Ponieważ to improwizacja, każdy koncert jest odmienny. Uważny słuchacz wyłapie wiele niuansów w trakcie tych występów.

Po występie w Teatrze Wielkim w Łodzi usłyszałam wiele opinii. Jednym podobało się, kiedy „nakrzyczałam” na Władysława, innym – świetne unisono Igora z Władysławem. Najzabawniejsze było jednak, gdy miłośnicy opery powiedzieli, że wyłapali wszystkie fragmenty operowych arii, jakie wykorzystałam, ale jednej nie rozpoznali... To nie była aria, tylko piękna kompozycja Władysława „Ranek nad Wisłą”. Wykonaliśmy ją tak, że jest chętnie puszczana w stacjach radiowych...

Doświadczenie z muzyką rockową pomaga pani w śpiewie operowym, czy raczej przeszkadza?

– Jak najbardziej pomaga. Nie można sobie zaszkodzić, jeśli przestrzega się pewnych uniwersalnych reguł. Muzyka, którą Władysław komponuje, wymusza na śpiewaku pewne techniczne zmiany. Właśnie w „Metropolis” pierwszy raz odczułam, jak długa może być fraza. Pomogło mi to, poczułam się wolna i teraz także w operze pozwalam sobie na więcej, inaczej buduję frazy.

Czy ten projekt rozbudził pani apetyt na kolejne ciekawe przedsięwzięcia?

– Od dawna myślę o nagraniu arii operowych z akompaniamentem w innym stylu, np. jazzowym, swingowym. Staram się zainteresować tym kolegów kompozytorów i śpiewaków, na razie bez rezultatu. Ale mam nadzieję, że jeszcze uda mi się ten pomysł zrealizować. Świat się zmienia i my, śpiewacy operowi, nie możemy pozostać skostniałi. Warto odkrywać nowe tereny, zwłaszcza że typowych nagrań klasycznych jest bardzo wiele.

Jak godzi pani tak różne projekty w tym samym czasie?

– Nie da się rano śpiewać do filmu Fritza Langa, a po południu ćwiczyć arie operowe. To właśnie byłoby dla głosu szkodliwe. Dlatego zawsze staram się wygospodarować w kalendarzu tydzień wyłącznie na „Metropolis”. Priorytetem jest dla mnie Teatr Wielki w Łodzi, gdzie pracuję już od 18 lat. Zaśpiewałam tu wiele pięknych partii i mam nadzieję, że wiele jeszcze przede mną.

Co uważa pani za swoje największe zawodowe osiągnięcie?

– Nie umiem wymienić jednego wydarzenia. Dominują przedsięwzięcia operowe w Teatrze Wielkim. Na pewno muszę wspomnieć o „Carmen”, bo dla każdego mezzosopranu jest to rola wymarzona.

Miałam szczęście brać udział w dwóch realizacjach tej opery. Projekt „Metropolis” też jest w czołówce moich osiągnięć. Ponadto w latach 2008-2010 nagrywałam dużo polskich oper w Polskim Radiu pod dyрекcją Łukasza Borowicza, np. „Monbar czyli Flibustierowie” Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego. Zajmują mnie też projekty oratoryjne i kameralne, które realizuję z Akademią Muzyczną w Łodzi, np. kwartety i walce miłosne Brahmsa czy muzyka do poezji Haliny Poświatowskiej. Dobre recenzje zebrałam po „Skrzypku na dachu” w Białymstoku...

Mezzosopran nie jest głosem tak efektownym jak sopran.

– Faktycznie, dla sopranu powstało mnóstwo pięknych partii, ale za to śpiewaczek mezzosopranowych jest mniej. Prawie w każdej operze jest jakaś partia mezzosopranowa, choć nie zawsze główna. Mezzosopran jako drugi głos zwykle musi się dopasować do innych. Być może dlatego tak odpowiada mi „Metropolis”, bo tam także muszę dopasować się do dwóch pozostałych muzyków. Ale zarazem mam w tym więcej swobody.

Wkrótce rozpoczyna pani współpracę z Filharmonią Futura...

– To pierwsza w Polsce prywatna filharmonia multimedialna. Ma bardzo ciekawe projekty i do jednego z nich zostałam zaproszona. Będzie to połączenie dyscyplin: piosenki i operetki. Specjalnie na tę okoliczność powstają nowe opracowania popularnych arii. Pracę rozpoczynamy zaraz po nowym roku.